OGNISKO DOMOWE

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok CHOJNICE Nr. 32

Ewangelja.

Onego czasu: mówił Jezus do niektórych, którzy ufali sami w sobie, jakoby sprawiedliwi, a inszymi gardzili, to podobieństwo. Dwoje ludzi wstąpiło do kościoła, aby się modlili; jeden Faryzeusz, a drugi Celnik, Faryzeusz stojąc, tak się sam u siebie modlił: dziękuję tobie Boże, żem nie jest jako inni ludzie: drapieżni, niesprawiedliwi, cudzołożnicy: jako i ten Celnik: poszczę dwakroć w tydzień: dawam dziesięciny ze wszystkiego, co mam. A celnik stojąc zdaleka, nie chciał ani oczu podnieść w niebo: ale bił piersi swoje, mówiąc: Bożę bądź miłościw mnie grzesznemu. Powiadam wam: zstąpił ten usprawiedlionym do domu swego, od niego. Albowiem ktokolwiek się podwyższa będzie unižon: a kto się uniża, będzie podwyższon.

Nauka.

Dwóch mamy bardzo różnych ludzi przed sobą, i jakoby na wyścigi wypuszczonych. Jednego sprawiedliwego, ale pysznego, a drugiego grzesznika, ale pokornego, i widzimy, że grzech ubiega cnotę, nie sam z siebie, ale że z nim łączy się pokora, a sprawiedliwość zostaje w tyle, nie dla swej słabości, ale dla ciężaru nadętości i pychy.

A jeżeli pokora nawet z grzechem złączona tak prędko bieży, że sprawiedliwość pyszną, za sobą pozostawia, to dokąd nie dojdzie, gdy się ze sprawiedliwością, złączy, stanie zaprawdę nawet przed stolicą Bożą aniołów z wielką ufnością.

A znowu jeżeli pycha ze sprawiedliwością tyl ko złączona, gniecie ją swym ciężarem, to cóż dopiero jeżeli się z grzechem zjednoczy do którego piekła nie wtrąci?

Toć ja mówię, nie abyśmy spraiewdliwości zaniechali, ale abyśmy się strzegli pychy, są słowa św. Chryzostoma. I sprawiedliwie, bo każda cnota bez pokory i miłości, za grzech jest poczytana. Jako pycha bowiem jest początkiem wszelkiego grzechu tak też jest upadkiem i zarazą każdej cnoty.

W samych przeto dobrych uczynkach lękać się trzeba pychy, abyśmy tego cośmy chwalebnie uczynili, dla pragnienia swej chwały nie utracili, co jasno Ewangelja św. dzisiaj nam pokazuje.

Posłuchajmy pilnie co tu Pan w tej przypowieści mówi:

Dwoje ludzi wstąpiło do kościoła aby się modlili. Z tych krótkich słów Chrystusa wiele nauczyć się możemy. Najprzód, widzimy tu że kto chce dobrze modlić się, ten musi nizkości grzechów opuścić, i złe, a ziemskie uczynki od siebie odrzucić, a sercem i chęcią wstępować do Nieba.

Modlitwa bowiem nic innego nie jest, tylko podniesienie myśli i serca do Boga. Błogosławiony to mąż, powiada psalmista, którego ratunek jest od Ciebie Panie, rozłożył wstępowania w sercu swojem, w padole płaczu, na miejscu które zgotował.

I to jeszcze zobaczyć możemy, że na modlitwę przystojną jest rzeczą schodzić się do Kościoła. Bo chociaż Pan Bóg jest wszędzie i na każdem miejscu przyjmuje modlitwy od swych wiernych, jednak ważniejsza jest modlitwa, czyniona w domu Bożym, w domu modlitwy, to jest w kościele na to zbudowanym i poświęconym, a zwłaszcza gdy się ze wszystkimi łączy bo niepodobna jest, aby Pan Bóg wspólnej modlitwy nie przyjął, sam bowiem słowem swojem zaręczył: Zasię, powiadam wam, iż gdyby się z was dwa zezwolili na ziemi, o wszelką rzecz, o którąby prosili, stanie się im od Ojca Mego, który jest w Niebiesiech. — Amen.

Kardynał Wiesemann.

FABIOLA.

Torkwatus był wskroś przejęty. Zaprowadzono go do łaźni Antonina, gdzie ściągał na siebie uwagę starego Kukumio przełożonego nad wydziałem szat czyli Kapsarjusza i żony jego Wiktorji, którzy go przedtem widzieli w kościele. Po dobrem śniadaniu zaprowadzono go do sali grze poświęconej w Termach, gdzie ma się rozumieć zgrał się. Fulwjusz pożyczył. pieniędzy, lecz na każdy grosz wymagał podpisu. Tym sposobem w kilku dniach opanował Torkwata.

Schodzili się o wczesnych godzinach zrana i późno wieczór; zresztą przez cały dzień Torkwatus był od nowych przyjaciół wolny, aby nie popadł w podejrzenie u chrześcijan, a przez to nie stracił swojej warto ści. Korwin zamierzał z wielkim zamachem uderzyć na chrześcijan, jak tylko edykt ogłoszonym będzie. Wymógł więc na Torkwacie, aby wziął na siebie w skutek zawartego przymierza przepatrzenie głównego cmentarza, w którym Papież miał celebrować. Z tego zadania wkrótce wywiązał się Torkwatus, zwiedzając cmentarze św. Kaliksta w towarzystwie Pankracjusza i grabarzy, i wtenczas kiedy się toczyła się w jego sercu walka przez Sewerusa dostrzeżona, między łaską Bożą a pokusą, pamięć na Katulusa i męczarnie, na Fulwjusza i wyłudzone podpisy, piekłu zwycięztwo oddały. Korwin według sprawozdania zrobił jak umiał plan cmentarza, aby walny atak przypuścić do schronienia chrześcijan zaraz nazajutrz po ogłoszeniu dekretu cesarskiego.

Fulwjusz inny obrał sposób. Umyślił poznać na własne oczy zgromadzone w kościele duchowieństwo wyższe rzymskie i znaczniejsze chrześci jan. Raz przypatrzywszy się ich twarzom, pewny był, że żadne przebranie nie zdoła omylić przeni-

kliwego oka, i że z łatwością wyłowi wszystkich po jednemu. Nalegał więc na Torkwata, aby się razem udali na pierwszą znaczniejszą uroczystość gromadzącą wielu księży i djakonów koło Papieża. Zbił wszelkie odradzania, uspokoił wszelkie obawy, i zapewnił Torkwata, że raz wszedłszy za wymówieniem hasła, sprawiać się będzie zupełnie poprawnie. KWkrótce potem Torkwatus przyniósł wiadomość, że będzie doskonała do wykonania zamiaru sposobność przy nadchodzącem święceniu księży w bieżącym miesiącu Grudniu.

Papież Marcelinus, pod którego ponfikatem powieść naszą prowadzimy. odbywał jak jest zapisane dwa święcenia w miesiącu Grudniu, ma się rozumieć nie jednego roku.

O jednem z tych dwóch święceń wspomnieliśmy, jako mającem wkrótce nastąpić. Na tym to obrzędzie pragnął się znajdować Fulwjusz.

Torkwatus znający miejsce gdzie się miało odprawić święcenie, jak i hasło chrześcijańskie, wszedł w naznaczony dzień do kościoła z Fulwjuszem, który wkrótce pokazał, że umie się zachować jak wszyscy. Zgromadzenie nie było liczne, mieściło się w sali domowej, zamienionej na kościół głównie zajętej przez duchowieństwo i kan dydatów do kapłaństwa.

Fulwjusz zapisywał w pamięci twarze obecnych ;, lecz w jednej osobie bardziej niż we wszyst kich innych utopił wzrok przenikliwy.

Tą osobą był Papież wypełniający święty obrządek. Marcellinus rządził Kościołem już od sześciu lat i sędziwego był wieku. Powierzchowność jego słodka i łagodna nie okazywała tej siły, jaką później dowiódł że posiada, oddając życie za Chrystusa.

W niego więc twarzą obróconego do zgromadzenia przed świętym ołtarzem Piotra, który stał pomiędzy nim a ludem wlepił wschodni szpieg przenikliwe swe oczy. Przyatrzył mu się najuważniej, zmierzył okiem wzrost, zapisał w pamięci kolor włosów, i cery, każde poruszenie głowy, chód, ruchy, głos, oddech prawie i nareszcie rzekł do siebie: Niech wyjdzie na miasto w jakiembądź przebraniu ten człowiek jest moją zdobyczą! A co za zdobycz!

ROZDZIAŁ VII.

Dziewice.

Prześladowanie najokrutniejsze miało wybuchnąć bez litości, nawet dla najsłabszychc, i nie dziw, iż te, które w sercach swoich poślubiły się Barankowi, jako czyste oblubienice jego na wieki, pragnęły odbyć gody przed śmiercią męczeńską, gdyby dostać się im miała. Agnieszka od dzieciństwa obrała dla siebie stan panieństwa. Nadziemska mądrość, którą się zawsze okazywała w jej mowie i czynach, łącząc się tak wdzięcznie z prostotą niewinnego dziecka, uczyniła ją nad lata dojrzałą do otrzymania wszelkiej dyspensy, użyczanej sercom spragnionym za dniem najczystszych godów. Uchwyciła się więc gorąco prawa, jakie jej dawało zbliżające się niebezpieczeństwo do nadzwyczajnej dyspensy od przepisu, który jej niedopuszczał do ślubów uroczystych przed skończeniem lat dwunastu.

Druga postulantka złączyła się z Agnieszką w tej prośbie. Możemy się łatwo domyśleć, że pobożna przyjaźń zawiązała się pomiędzy Agnieszką a Syrą od pierwszego poznania się, któreśmy wyżej opisali. To uczucie wzmogło się pochwałami, które Agnieszka słyszała od Fabioli o ulubionej słudze. Z tych pochwał i skromniejszych doniesień niewolnicy przekonała się z pociechą, że dzieło, któremu Syra się poświęciła, to jest nawrócenie Fabioli, powinno być niewolnicy zupełnie zostawione. Widocznie na dobrej było drodze, zawdzięczając powodzenie przezorności i łasce, z którą było prowadzone.

Łaska uzyskana na Jasnej Górze.

Czesława Kozłowska lat 14, zam. Trzoskach gm. i pow. Naruszewo, w diecezji Płockiej od lat dziecięcych chorowała, jak zaświadcza lekarz Sokódlski z Płońska na nieżyt trąbek Eustachjusza.

Uczęszczając do szkoły w Krzaszewie słyszała Czesława Kozłowska w czasie wykładów Religji od swego proboszcza ks. Michała Serafina, że Matka Boska Częstochowska przychodzi z cudowną pomocą tym, którzy z silną wiarą o to szczerze i gorąco proszą.

Lekarz radził udać się do specjalisty, lecz mała Czesia mówiła do swej matki:

— Mamo, jedźmy do Częstochowy, a tam, jak ks. proboszcz mówił, Matka Boska mnie uleczy, — o co ją będę serdecznie prosiła.

Matka namawiała córkę, by zechciała jednak u specjalistów lekarzy szukać porady.

Ale Czesia odpowiada uporczywie na to: — Nie, jedźmy do Matki Boskiej.

Ulegając ustawicznym prośbom córki udaje się matka wraz z córką na dzień Zielonych Świątek do Częstochowy, choć radaby zostać na ten dzień w parafji z powodu przyjazdu Najprzewielebniejszego Ks. Biskupa z Płocka.

W Częstochowie w pierwszy dzień Zielonych Świątek mała Czesia modliła się szczerze, ale wieczorem po różańcowem nabożeństwie, gdy zasłonięto już obraz słynący cudami Matki Bożej i gdy wróciła na nocleg mówiła do swej matki:

— Mamusiu,, czy wróce głucha do domu? Nie! Będę się jutro jeszcze szczerzej i gorącej modlić.

Na drugi dzień znowu cały dzień modliły się córka i matka.

Nabożeństwo się kończyło, zasuwano obraz — — — mała dziewczynka wraz z matką obchodziły w około ołtarza z t. zw. ofiarą, modląc się i czekając pomocy od Matki Bożej. I stało się coś niezwykłego: nagle dziewczę odzyskało zupełną i normalną zdolność słyszenia — stał się cud wymodlony ze szczerą wiarą w pomoc Marji.

Uszczęśliwione Matka i córka, zalane łzami radości, dziękują Matce Bożej. Z nadmiaru szczęścia nie powiadomiły nawet o cudownem uzdrowieniu OO. Paulinów, ale wróciły czemprędzej do domu i zamówiły we własnej parafji Mszę świętą na podziękowanie Bogu za uzdrowienie.

Zaświadczenia o dawnej chorobie i o zupełnie dobrej normalnej zdolności słyszenia wydał doktór w Płońsku, Zdzisław Sokólski. Brzmi ono:

W miesiącu kwietniu 1928 r. zasięgała u mnie porady lekarskiej Czesława Kozłowska, lat 14 mająca, u której stwierdziłem znaczne przytępienie słuchu, powstałe wskutek nieżytu trąbek Eustachjusza. Płońsk, 15 czerwca 1928 r. (—) Dr. Sokólski.

Zaświadczam, iż badając w dniu 22 czerwca 1928 r. Czesławę Kozłowską stwierdziłem u niej zupełnie dobrą i normalną zdolność słyszenia. Nieżyt trąbek Eustachjusza, na który Czesława Kozłowska przed kilku miesiącami cierpiała, wymagał dla usunięcia go specjalnych zabiegów leczniczych Płońsk, 22 czerwca 1928 r. (—) Dr. Sokólski.

Niewinnie skazany.

(Z rosyjskiego).

W mieście Włodzimierzu mieszkał młody kupiec Aksenow. miał dom i dwa sklepy.

Aksenow był rudy, kędzierzawy, przystojny, pierwszy do tańców i do śpiewów. Za młodu pił dużo, a gdy się upił, wyprawiał brewerję; ale po ożenieniu ustatkował się i tylko kiedy niekiedy, przy okazji podchmielał sobie nieznacznie.

Pewnego razu latem, Aksenow pojechał na jarmark do Niżniego. Na wsiadaniu, żona go prosi:

—Iwanie nie jedź, brzydko mi się śniło tej nocy.

Aksenow zaśmiał się.

— Boisz się zapewne, żebym nie hulał na jarmarku — rzekł.

A ona mu na to:

— Sama nie wiem czego się boję, tylko pamiętam: śniło mi się, przychodzisz z miasta bez czapki, patrzę, a tu głowa cała siwa.

Aksenow roześmiał się.

— Dzieciństwa — rzekł. — Zobaczysz, wrócę zdrów i przywiozę ci śliczny gościniec.

Pożegnał się z rodziną i pojechał.

W pół drogi spotkał znajomego kupca i zatrzymał się z nim razem na nocleg. Napili się herbaty, poszli spać, wzięli pokoje obok siebie. Aksenow zwykł był wstawać wcześnie. Obudził się wśsórd nocy. Chcąc jechać o chłodzi e,kazał zaprzęgać, zapłacił gospodarzowi oberży i wyruszył.

Ujechawszy ze czterdzieści wiorst, zatrzymał się przed karczmą, żeby konie popaść. Kazał nastawić samowar. Wtem zajeżdża trójka: z bryczki wysiada urzędnik z dwoma żołnierzami, zbliża się do Aksenowa i pyta go:

— Skąd i kto zacz?

Aksenow opowiada co i jak, zaprasza na herbatkę. Ale urzędnik wciąż pyta: gdzie nocował wczoraj? Sam, czy z kupcem.

— Czy widział kupca nazajutrz? Dlaczego tak wcześnie odjechał?

Aksenow zdziwił się, czemu go o to wszystko pytają, opowiedział, jak było i mówi:

— Cóż to bierzecie mnie na spytki? Toć ja nie złodziej ani zbój żaden, jadę w swoim interesie. Zostawcie mnie w spokoju.

Wtedy urzędnik zawołał żołnierzy i mówi:

— Jestem sprawnik, a pytam się dlaczego kupiec, z którym nocowałeś wczoraj, zarżnięty. Obszukać go! — zawołał do sołdatów. Wzięli walizę i torbę — przeglądają. Wtem sprawnik wyjmuje z torby nóż.

— A to czyj? — krzyknął.

Aksenow zbladł„ widzi nóż okrwawiony. Przestraszył się.

— Skądże ta krew? — pytał sprawnik.

Aksenow chciał powiedzieć, ale nie mógł głosu wydobyć.

— Ja... nie wiem... ja noża... to nie mój — ja —

A sprawnik powiada:

— Nad ranem znaleźli w łóżku zarżniętego kupca. Ty z nim spałeś. Ty tylko mogłeś go zabić. Pokój był zamknięty z wewnątrz... A oto nóż zakrwawiony, zresztą dość na ciebie spojrzeć. Mów, jakżeś go zabił i wiele zabrałeś pieniędzy.

Aksenow zaklinał się na wszystkie bogi, że to nie on zamordował kupca, że ma przy sobie 8000 rubli, — ale swoich. Był blady, drżący, wyglądał na winowajcę.

Sprawnik przywołał żołnierzy, kazał go związać i posadzić na brykę. Gdy mu wiązano ręce i nogi, Aksenow zapłakał. Zabrali mu pieniądze, towary i odstawili go do więzienia.

Posyłano do Włodzimierza dowiadywać się. Wszyscy kupcy i mieszkańcy świadczyli, że Aksenow pił i hulał za młodu, ale że się potem ustatkował i że jest uczciwym.

Stawili go przed sąd. Osądzili za zabicie kupca i okradzenie go na 20.000 rubli.

Żona nie wiedziała sama, co o tem myśleć. Dzieci były jeszcze małe. Zabrała wszystkie ze sobą i pojechała do tego miasta, gdzie mąż siedział w więzieniu. Z początku nie chcieli jej do niego puścić, lecz wreszcie uprosiła głównego dozorcę.

Ujrzawszy go w więzieniu w ubraniu wśród zbójów, oniemiała. Potem zaczęła go pytać, jak to się stało.

Opowiedział jej.

— I cóż teraz? — zaczęła.

— Trzeba zwrócić się do łaski monarszej — odrzekł. — Toć niewinny ginąć nie może.ł

A ona mu powiedziała, że już prośba dawno posłana, ale do rąk nie doszła. Aksenow umilkł.

— Widzisz — mówiła żona — nie darmo wtedy ostrzegałam cię, żebyś nie jechał. Śniło mi się, że cię widzę siwym. I posiwiałeś naprawdę.

Głaskała go po głowie i nagle, przyciszonym głosem spytała:

— Wania, mnie, żonie, powiedz prawdę; zabiłeś?

— I ty tak myślisz? — szepnął Aksenow, zakrył twarz rękoma i płakał

A potem przyszedł żołnierz i wyprowadził żonę z dziećmi.

Gdy wyszła, Aksenow powiedział sobie:

— Bóg tylko jeden nie wierzy, bo wie jak było. Od niego jedynie może przyjść ratunek.

Więc przestał podawać prośby, przestał spodziewać się sprawiedliwości.

Osądzono go na sto batów i na ciężkie roboty.

Przebył w nich lat 26. Włosy mu zbielały, wyrosła mu długa broda — zgarbił się, mówił mało, rzadko się śmiał, ale często się modlił.

W więzieniu nauczył się szyć buty, za zarobione pieniądze kupił sobie Nowy Testament i czytał dopóki było jasno, a w dnie świąteczne chodził do cerkwi i śpiewał w chórach.

Zwierzchność go lubiła, bo był spokojny, a towarzysze więzienni mieli dla niego szacunek, nazywali go „człowiekiem Bożym". W razie kłótni i sporów, on ich sądził, on też im wypraszał u władzy różne ulgi. Dla siebie nigdy o nic nie prosił.

Nie otrzymywał nigdy listów. Nie wiedział, co się dzieje z żoną i dziećmi.

Pewnego razu przywieźli nową partję skazańców. Wieczorem dawni „katorżnicy" otoczyli nowych i wypytywali ich, kto i z jakiej wsi, z jakiego miasta i za co tu zesłany. Aksenow także się przysiadł i słuchał co opowiadają nowi. Jeden z nich był wysoki siwy, mógł mieć lat ze sześćdziesiąt. Mówił.

— Ot, bracia, niewinnie się tu dostałem. Koń urwał uprząż u sani, a oni powiadają, że to ja go ukradłem. A tego nie wiedzą, kiedy i co ukradłem naprawdę. Oddawna już należało mi się tu dostać jednak nie złapali. A teraz najniewinniej, jak Boga kocham.

— A ty skąd? — pytał go jeden z więźniów.

— Z miasta Włodzimierza. Po imieniu Makary, a po ojcu Siemionowicz.

Aksenow podniósł głowę i zapytał:

— A nie słyszeliście tam o kupcach Aksenowych?

— Słyszeć, słyszałem. Bogaci. Niedarmo ojciec w Sybirze. Taki tam, jak i my grzesznik. A ty, diadia, skąd rodem?

Aksenow nie lubił mówić o swojem nieszczęściu. Westchnął i rzekł:

— Za winy moje 26 rok już tu siedzę.

— A za jakie? — pytał Makary.

— Ha! widać zasłużyłem — mruknął Aksenow i nić już mówić nie chciał, ale inni opowiedzieli nowemu towarzyszowi, za co on dostał się na Sybir: że ktoś po drodze zabił kupca, a jemu podrzucił nóż okrwawiony.

Usłyszawszy to, Makary spojrzał na Aksenowa, uderzył się po kolanie i zawołał:

— No, no! To ci traf! Postarzałeś się do niepoznania.

Zaczęli go pytać, gdzie on Aksenowa widział, ale Makary nie chciał mówić.

Dziwy, co za dziwy — mruczał pod wąsem. — Ot, gdzie my się spotkali!

Słysząc to, Aksenow pomyślał, że ten człowiek znał może zamordowanego kupca.

— Musiałeś ty o tem słyszeć, albo mnie dawniej znałeś — rzekł.

A Makary na to:

— Może i słyszałem. Nie pamiętam. Tyle czasu!

— A doszło może do twoich uszu, kto kupca zabił?

Makary zaśmiał się i rzekł.

— Zapewne ten, u kogo nóż znaleziono. A chocby nawet ktoś tobie ten nóż podrzucił — nie złapali go, więc niewinny. Zresztą czy kto mógł nóż podrzucić? Tocbyś się obudził.

Aksenowa coś tknęło.

— Ten to właśnie człowiek zabił kupca — rzekł sobie.

Nic już więcej słyszeć nie chciał. Wstał i odszedł.

Przez całą noc spać nie mógł. Chwycił go straszny żal i smutek. — Przed oczyma stanęła mu żona — widział ją jak żvwą i siebie widział, takim był, wyjeżdżającym na jarmark, młodym, wesołym I przypomniał sobie jak go rózgami siekli jak na Sybir wywieźli. Całe życie w więzieniu przesuwało się przed jego oczyma — ciężkie, szare życie.

— A wszystko przez tego łotra! — myślał.

I chwyciła go taka złość na Makarego, że choćby miał sam zginąć, chciał swą krzywdę pomścić. Przez całą noc modlił się, ale nie mógł się uspokoić. Nazajutrz nie zbliżał się do Makarego nawet na niego nie patrzył.

Tak zeszło dwa tygodnie. Aksenow nie mógł spać po nocach, ogarniał go taki smutek, że nie wiedział co z sobą począć.

Pewnego razu, wśród nocy, zaczął chodzić po więzieniu i zobaczył, że z pod jednej pryczy sypie się ziemia. Stanął, popatrzył. Nagle z pod pryczy wyskoczył Makary i spojrzał na niego z przestrachem. Aksenow chciał odejść. Makary schwycił go za rękę i opowiedział mu, że kopie podziemne przejście pod ścianę, że wynosi codziennie ziemię w cholewach i wysypuje ją podczas robót przymusowych.

— Jeżeli pary z ust nie puścisz, to i ciebie wyprowadzę — mówił. A gdybyś mnie zdradził, dostanę bizuny, ale i tobie dostanie się odemnie.

Aksenow wyrwał mu rękę i rzekł.

— Nie mam po co uciekać, a zabijać mnie już nie potrzebujesz. Zabiłeś mnie oddawna. Czy cię zdradzę, czy nie, to moja rzecz.

Nazajutrz, gdy wyprowadzali „katorżników“ na robotę, żołnierze spostrzegli, że Makary wysypuje ziemię, zaczęli obszukiwać i znaleźli otwór. Przyjechał do więzienia naczelnik i pytał wszystkich, kto ten podkop zrobił.

Wszyscy się zapierali. Kto wiedział, nie chciał wydać Makarego, bo było wiadomo, że za taką sprawkę siec go będą prawie na śmierć.

Wówczas naczelnik zwrócił się do Aksenowa. Wiedział, że to człowiek sprawiedliwy i rzekł:

— Powiedz mi, jak przed Bogiem, kto to zrobił.

Makary stał spokojnie, ani drgnął nawet, patrzył na naczelnika dobrodusznie. Ręce Aksenowa zadrżały, zadrżały mu usta. Myślał: „Po co go osłaniać, wszak on mnie zgubił! Niech ma za moją męką. Powiem — to go na śmierć zasieką. A nuż go posądzam niesłusznie. Lżej mi to będzie, jak go zdradzę?

— No, stary, powiedz kto to wykopał?

Aksenow spojrzał na Makarego i rzekł:

— Nie mogę powiedzieć, wasze błagorodje. Mnie Bóg nie pozwala. Róbcie ze mną co chcecie, nie powiem.

— Na nic się nie zdały prośby, powyższe pogróżki, Aksenow nic już więcej nie rzekł. I nie dowiedzieli się, kto zrobił podkop.

Nazajutrz, gdy Aksenow ułożył się do snu i już drzemał słyszy, że ktoś do niego się zbliża i siada na nogach pryczy.

Spojrzał i wśród ciemności poznał Makarego.

— Czego chcesz odemnie? — rzekł.

Makary milczał.

— Precz stąd — burknał — bo zawołam sołdata.

— Iwanie Dmitrowiczu — przebacz — szepnął.

— Co mam przebaczyć.

— To ja zabiłem kupca, ja podrzuciłem nóż. Chciałem i ciebie zabić, ale spłoszył mnie szelest

Aksenow milczał. Nie wiedział, co powiedzieć. Makary do nóg mu się pochylił.

— Iwanie Dmitrowiczu daruj! Ja przyznam się, że kupca zabiłem. Ciebie wypuszczą. Wrócisz do domu.

— Łtwo tobie mówić — odpowiedział Aksenow — a mnie lekko było cierpieć? Gdzie ja teraz pójdę? Żona umarła, dzieci zapomniały.

Makary tłukł głową o ziemię i mówił:

— Iwanie Dmitrowiczu, przebacz! Kiedy mnie siekli knutem, lżej mi było, jak teraz. A ty jeszcze pożałowałeś mnie — nie zdradziłeś. Przebacz, na rany Chrystusowe. Przebacz łotrowi. — I zaszlochał.

Aksenow sam zapłakał i rzekł:

— Bóg ci przebaczy. Kto wie? Ja może sto razy gorszy od ciebie.

Odtąd przestał tęsknić za domem, myślał tylko o śmierci.

Makary wyjawił prawdę zwierzchności, do winy się przyznał. Gdy wreszcie przyszło pozwolenie, żeby Aksenowa wypuścić z więzienia — Aksenow już nie żył.

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego“. w Chojnicach.